Nr. 39. We Lwowie dnia 24. września 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



W turniach.

Z cyklu »Miłość«.

I.

Pierzchnął już zmrok...
Z pod krawędzi ziemi
Wytrysły już
Płomienne skry
Porannych zórz.
I mgły
Płachtami się kładą białemi
Po reglach, po zielonych,
Lub się zwieszają, jak przędze pajęcze,
Z stoku na stok;
Lub jak olbrzymie, tajemnicze ptaki,
Rwą się na skrzydłach śrebrzonych
W powietrzne szlaki,
Lub, opadając, jak wał,
O strome poręcze
Sinawych skał
Rozwiewają wilgotne swe puchy.

* * *

O wstań! o wstań!
Ma dusza, rozśpiewana
Pieśnią tęsknoty,
W ten głuchy,
A jednak żywy
Pędzi mnie świat,
Zwraca swe loty,
Gdzie każda ciemna grań,
Gdzie każda jasna polana
Opowiada dziwy
Niewysłowione
I niepojęte
Z przedwiecznych lat.

* * *

Za chwilę blasków koronę
Wychyli słońce z za gór;
Z blasków poczęte
Jak się słaniają błękity,
Bez plam,
Bez chmur,
Ponad ostremi szczyty!
O chodź! o chodź! przez mgły
I ja i ty
I dusza ma —
Mój dobry genjusz z drżącą lutnią w ręku,
Pójdziemy tam,
Gdzie światłość gra
Swą promienistą pieśń
Śród niedostępnych turni!
Pójdziem, gdzie grożą wieczystemi zmroki
Żleby bezdenne,
Niesłyszalnego jakby pełne jęku,
Odziane w czasów pleśń —
Tych dawnych, dawnych, dawnych dni,
Których bezmiaru myśli nie ogarną,
Lecące choćby najgórniej,
Ani marzenia senne,
Choć swą przedziwną mocą
Przeniknąć umieją
Głęboki
Tajemnic żleb.

* * *

Świerkowy bór
Swą piersią czarną,
Na której zorze się złocą,
Perłami rosa lśni,
Oddycha;

Lekkie powiewy wieją —
I płynie, płynie, płynie,
Jak fala, cicha
Z powodu głębi swej,
Przedziwny chór!
Aż pod niebieski sklep
Wypełnia przestwór cały
Przeszywający mnie do szpiku kości
Odwiecznych dum
Miarowy, pełny i rozciągły ton...
O hej! o hej!
Tam ninie
Snać się siklawy rozlały
W szum!
Nie widzę ich srebrzystych wstęg,
Ale je słyszę — to one,
Lecąc ze szczytów,
O trzon
Granitów,
O skalnych łon
Rozsiadłe brzemię biją, rozpienione,
Dzwonią, jak dzwon,
I grzmią, jak grzmot,
Walą, jak straszny eonów młot,
Do bram nieskończoności,
Do tych tajemnych wrot,
Poza któremi gości
Przestrach i lęk
I uwielbienie i skrucha
I osłupiały dziw
I serce w pył miażdżąca
Pokora...

* * *

O słuchaj! słuchaj! w jaką strunę trąca
Tęsknota mego ducha,
Jaki cię budzi zew:
Tam do tych niw,
Które praoracz w skiby niebosiężne
Pokrajał ongi, przed wieków wiekami,
I posiew grozy w nie rzucił
I, gdy ta w zboże-potwora
Wyrosła, w kamień obrócił
(Ale nie martwy, lecz żyw)
I łan i siew,
Że dziś nad nami
Zieją, jak węże olbrzymie, wylęgłe
W łonie prabytu, obrócone w głazy
(Ale nie martwe, lecz żywe,
Choć nieruchome) — tam
Niechaj nas kroki wiodą niecierpliwe!
W te tajemnicze,
Rajskie a straszne dzicze
Podążać nam
Na białych skrzydłach ekstazy!
U bram
Nieskończoności, śród groz,
Pośród przestrachu i lęku,
Od których jeży się włos,
Oko zachodzi mgłami,
Nad przepaściami,
Z ręką w ręku,
Wpatrzonym w śmierci oblicze,
Zadawać śmierci kłam,
Z rąk życia rozkosz pić
I żyć i żyć i żyć!...

Jan Kasprowicz.

NÁPRSTKOWIE.

GARŚĆ WSPOMNIEŃ.

(Dokończenie).

Przedstawiwszy się następnie gościom, których zastaliśmy przy stole, zajętych częścią rozmową z gospodarzem, częścią przeglądaniem dzienników i nowych książek, siadam również, posłuszny wezwaniu, a do wieńca szklaneczek z białem winem, na podkładkach liczbowanych z płótna woskowanego, przybywa para nowych: dla mnie i dla pana Edwarda. Od tej chwili czuję się zupełnie swobodnym, zwłaszcza, że całe otoczenie zachęca człowieka do nie krępowania się swem zachowaniem. Rozmawiam więc z sąsiadem, wyśmienitym fejletonistą, Janem Lierem, przyjacielem Polaków, o piśmiennictwie, przerzucam pisma, muszę popijać wino czeskie, bo już nie pozwalają w tym względzie marudzić, chrupię smaczne grzanki i rozglądam się po ścianach, ozdobionych sztychami, podobiznami Washingtona i Jacksona, fotografjami i napisami angielskimi, takimi jak np. TIME IS MONEY.

Słychać wesołe: *Má ucta, panowé* (Moje uszanowanie panom) i chichot kobiecy — wchodzą nowi goście: jowialny rzeźbiarz J. Mauder z żoną, przyjemną brunetką, która wdaje się ze mną w romowę, o tem naturalnie, jak mi się miasto podoba i t. p. Za nimi zjawia się wreszcie gospodyni domu, rozmowa schodzi na Macierz szkolną, której festyn trzydniowy zaczyna się

jutro. Teraz poznaję przeznaczenie wachlarzy japońskich, nad którymi siedzą pochylone pomocnice pani Náprstkowej. Mają je sprzedawać podczas festynu na rzecz »maticzki« — jak Czesi nazywają swą Macierz — a o pokupie ich stanowić będzie mniejsza lub większa liczba autografów literatów i artystów dłuta, pędzla lub słowa, zgromadzona na liściu palmowym, względnie pstrym papierze chińskim. I inne niespodzianki przygotowuje pani Náprstkowa, oddana całą duszą sprawie Macierzy, tak, że aż pan Edward wykrzykuje żartem: »Ależ dla Boga, skąd człowiek weźmie pieniędzy na to wszystko«.

Panie usuwają się teraz, by omówić jeszcze niektóre drobiazgi festynowe, mężczyźni dalej wiodą rozmowę o sprawach bieżących miasta, polityki życia Czechów w Ameryce; to ostatnie bowiem zajmuje nader żywo gospodarza, który udziela gościom wiadomości, jakie otrzymał w listach z za morza. Sypią się zapytania o stałych gości »u Halanków«, których nie widać tu dzisiaj, lub którzy oddawna szybują po morzu, jak dyrektor Korzensky, właśnie będący w drodze do Australji. A że pora ogórkowa zaczyna się już, zdradzają ten i ów swe plany na lato. Dowiadują się o wycieczce Jelinka do Kaszubów; nuże więc wypytywać go o różne szczegóły. Doleciał oddźwięk tych pytań do pani Náprstkowej, wraca do nas i zmusza pana Edwarda do obietnicy, że nie zapomni w podróży o muzeum przemysłowem i coś ciekawego pod względem ludoznawczym przywiezie dla niego.

Tak ani się spostrzegamy, jak już pierwsza minęła; więc że czas na obiad, żegnamy towarzystwo, poczynające się rozchodzić. Uprzejmy gospodarz zaprasza do częstszych odwiedzin. Nie trzeba dodawać, że postanawiam bywać o ile możności jak najczęściej w piątki, wskutek czego poznaję coraz nowych ludzi i coraz lepiej gospodarza i jego zbiory.

Co do gości, to podnieść należy, że ani stanowisko towarzyskie, ani poglądy ich i przekonania polityczne, społeczne i naukowe nie stanowią żadnej przeszkody w odwiedzaniu gościnnego domu »u Halanków«. Tak np. spotykałem tam radcę miejskiego Kottnera, świadka chwil ostatnich nieboszczyka, lub profesora wszechnicy dra Józefa Durdıka*), który z zadowoleniem powoływał się na swą pracę »O wielkim astronomie Koperniku«, by dać dowód, że go sprawy polskie obchodzą żywo, obok nauczyciela ludowego, który starał się udowodnić mi rzeczy, niedającej się dowieść, t. j. prawdziwości rękopisu królowodworskiego, i ciskał gromy na prof. Gebaura i innych. I panie nie stronią od tego domu, którego właściciel pierwszy w Czechach podniósł sztandar emancypacji kobiet i nawet gościł u siebie już nieistniejący dziś klub amerykanek praskich. Rozumie się, że tu mówię o gościach mniej więcej stałych, bo przejezdnych i przelotnych nie naliczysz... Przepraszam za nieścisłość, bo owszem, policzyćby ich można, gdyby kto miał odwagę przeglądnąć wielką księgę, w której każdy przybysz musi wpisać datę, nazwisko, miejsce, skąd przybywa, i swe zajęcie. Mnie wystarczyło ją przekartkować, by się przekonać, że nie brak tam prawie choćby jednego przedstawiciela którejkolwiek narodowości europejskiej, a nawet dalekiego wschodu: Chin i Japonji, że pominę setki Amerykanów. Ale i inna pamiątka pozostaje często po zwiedzających książnicę pana Náprstka, miara ich wzrostu, oznaczona kreską na narożniku szafy bibliotecznej, a ciekawa znów z tego względu, że najwyższym z gości dotychczasowych okazał się Chińczyk.

Spyta może kto: I cóż prowadzi tych cudzoziemców w progi mieszczanina praskiego? Czyliż to mało zbiorów publicznych w stolicy czeskiej? Prawda, wiele ich, ale mało tak systematycznie urządzonych, mało tak wszechstronnych, a żaden nie stanął siłami jednego człowieka, jak książnica i muzeum przemysłowe czeskie. Bo też nieboszczyk utrzymywał stosunki z szerokim światem, który mu się za pisma i dzieła czeskie wywdzięczał innojęzycznemi. Jest tam też wcale spory zbiór dzieł polskich, który mi właściciel pokazywał z zadowoleniem, choć nie bez cichej skargi na obojętność Polaków dla jego, jak i w ogóle dla wszelkich księgozbiorów czeskich.

Nie trzeba przytem sądzić, że pan Náprstek był tylko namiętnym bibljomanem na wzór śp. ks. Formaniosza. Żadna książka, nadesłana do jego zbiórów, nie uszła jego uwagi, a na wielu czytelnik spostrzega energiczne pociągi ołówka — to zakreślone przez gospodarza ustępy. Systematyczności księgozbioru tego dowodzą np. fakty następujące: piśmiennictwo czeskie, zebrane niemal w komplecie, obfity dział stanowią *Bohemica* zagraniczne, zbiór czasopism — z *Timesem* na czele – niezwykły, zawodowe piśmiennictwo przemysłowe angielskie, francuskie i niemieckie zastąpione nietylko najważniejszemi dziełami, przeszło tysiąc tomów przypada na dział spraw społecznych, filantropijnych i ludoznawstwo, cały oddział dzieł, poświęconych sprawie kobiecej, takiż dotyczący służących, mnóstwo dzieł o Chinach i Japonji, które pan Náprstek podziwia, pełno wreszcie encyklopedji, słowników, katalogów innych zbiorów i t. d.

Prócz książek, albumów i fotografji, znajdujesz w zbiorach gospodarza »u Halanków« jeszcze jedną ważną rzecz: mnóstwo tablic gra-

*) Urodzony 1837, od r. 1869 wykłada na wszechnicy; znakomity to estetyk i myśliciel, opierający filozofję na podstawie matematyczno-przyrodniczej, autor dzieł o Laibnicu i Niutonie (Newton), Bajronie, Herbarcie, Tomaszu ze Szczytnego, Bolzanie, Kancie, Dziejów filozofji nowożytnej w 2 t., Dziejów filozofji greckiej, Psychologji, Krytyki, Estetyki ogólnej, Poetyki i wielu innych.

ficznych, bardzo pouczających. Przypominam sobie, jak mi jedną z nich pan Náprstek ukazał — dotyczyła stosunku liczebnego Czechów do innych wielkich narodowości kuli ziemskiej, oraz terytorjów, przez nie zamieszkałych — i z dumą dodał, gdym przypatrywał się nikłemu kwadracikowi czeskiemu: »A jednak, czegośmy dokazali«. W głosie jego przebijało wtedy to poczucie siły własnej, które ożywiało Jungmanów i Palackich, gdy budowali drogę odrodzeniu narodu czeskiego. Lecz nie obce głosowi jego były i łagodniejsze tony współczucia dla cierpiącej ludzkości, gdy np. innym razem rozkładał przedemną tekę z tablicami, opracowanemi przez pewnego badacza czeskiego na podstawie dat stwierdzonych, a przedstawiającemi statystykę ofiar w ludziach, i majątkach, jakie pochłonęły wojny od najdawniejszych znanych nam czasów, aż do lat ostatnich. Zebrano w nich cyfry, według różnych punktów widzenia, a ze wszystkich wynikało, że wojny religijne były najbardziej morderczemi i kosztownemi, na co wolnomyślny gospodarz, przewodniczący komitetu dla zbudowania pomnika Hussowi, zwrócił mą uwagę.

Drugi dział zbiorów Náprstka to muzeum przemysłowe, którego urządzeniem założyciel jego zajmował się systematycznie od r. 1862, mając przed oczyma wzór w muzeum kensintońskiem (w Anglji), a pomocniczkę w żonie i matce. Niemało też przyczynili się — szczególnie w dziale ludoznawczym — do wzbogacenia tych zbiorów podróżnicy czescy: dr. Holub, Feistmantel, Steckel, Czurda, P. Durdik, J. Korzensky, E. Wráz, J. Zeyer i inni Czesi, żyjący poza krajem. Znów tu celują zbiory chińskie i japońskie. Z czeskich rzeczy najpiękniejszym jest zbiór haftów (wyszywań) ludowych czeskich, odznaczony na wystawie glasgowskiej. Ze swej strony dodać mogę, że mnie zajęły głównie pisanki, zebrane tu w niezwykłej ilości, na które zwrócił też mą uwagę pan Náprstek, gdym mu wręczył swą broszurkę o pisankach galicyjskich. Do niedawna muzeum to musiało tulić się do księgozbioru założyciela, dziś już posiada gmach trzypiątrowy, wychodzący czołem do ulicy Złotej, przezwanej świeżo z woli rady miejskiej Náprstkową, a połączony kurytarzem z pracownią, w której schodzą się goście »u Halanków«.

Jeśli dodam, że pan Náprstek prowadził pilnie t. zw. *scrapbooki* czyli zapiski w różnych kierunkach, jak: w sprawie wychodźtwa czeskiego, kwestjach humanitarnych, w sprawie równouprawnienia kobiet i. t. p., które stanowiły kopalnię wiadomości dla pracujących we wskazanych kierunkach, zapyta każdy, skąd zdołał znaleść czas na to wszystko. Tymczasem nie wyczerpałem wszystkiego, bo ten człowiek brał czynny udział w licznych towarzystwach i w radzie miejskiej, dawał pobudkę do różnych przedsięwzięć, pożytecznych dla narodu, zawsze stając na uboczu, jakgdyby był ostatnim w szeregu, milczący, lub tylko od czasu do czasu strzelający dowcipem.

Na wytłumaczenie tego dziwnego objawu pracowitości i ruchliwości potrafię tylko przytoczyć: silny i zdrowy organizm, mózg niezwykły, bo — jak sekcja pośmiertna wykazała — zbliżający się mnogością i kształtem zwojów do mózgów znakomitych matematyków, mężów o szerokim poglądzie lub o świetnej pamięci i niepospolitej bystrości umysłu, oraz wykształcenie życiowe, zdobyte własnym trudem, wreszcie wielka idea poświęcenia życia swego dla dobra nietylko narodu własnego, lecz także ludzkości, która zdoła natchnąć siłą tytaniczną i mniej silne ustroje. W poświęceniu się tem nie ustał mimo wieku podeszłego, który za nieposzanowanie praw swych zemścił się srogo — na lewej części mózgu znaleziono skrzep krwi wielkości jaja, sprawcę niespodziewanej katastrofy.

A jednak i w śmierci Náprstka jest coś wielkiego, co i najbardziej zachowawcze umysły powinno przejąć dlań podziwem. Gdy już widział zbliżający się koniec, przekazawszy cały swój majątek gminie m. Pragi na utrzymanie muzeum przemysłowego, polecił spalić swe zwłoki bez obrzędów kościelnych, nie dozwalając kłaść wieńców na swej trumnie, i wyzionął ducha o godzinie drugiej w nocy z 1. na 2. b. m. na ręku żony wobec najbliższych swych przyjaciół: radnego Kottnera, dyr. Korzenskiego, J. Wráza, inż. Bauszego i braci Szimaczków. Jakoż życzeniu jego stało się zadość. Kwoty, przeznaczone na wieńce, posypały się na cele narodowe, w myśl życzenia nieboszczyka, zwłaszcza na pomnik Hussa i Macierz, a zwłoki odprowadziły tysiące rodaków i rodaczek na dworzec, skąd je przewiozły wdowa i deputacje do Goty do pieca czyli t. zw. krematorjum. Obecnie już urna z popiołem wróciła do Pragi, by znaleść pomieszczenie w nyży muzealnej.

Byłoby bezpotrzebnem z mej strony frazesem upewniać czytelników o tem, że imię Wojciecha Náprstka żyć będzie na wieki w pamięci wdzięcznego narodu czeskiego, bo znając zasługi równorzędne śp. Baranieckiego dla społeczeństwa naszego, możemy mieć miarę wartości Náprstka dla Czechów.

Dr. Fr. Kreczek.

Z ZACHODNICH KRESÓW.

(Ciąg dalszy).

Miejscowi Polacy, którzyby dorabiali się i nabywali znaczniejsze ilości ziemi, są bardzo rzadkiemi wyjątkami. Dlaczego Niemcy umieją się tam zbogacać, gdzie bankrutują Polacy, to znowu zagadka, której rozwiązanie tylko charaktery obu tych narodów stanowić mogą. Twierdzenie, że my, Polacy, jesteśmy rolniczym narodem, opiera się tylko na tem, że nie rozwinął się u nas ani przemysł, ani handel, że więc wskutek tego rolnictwo było jedynem polem pracy dla ludności naszego kraju, z tego jednak nie wynika, aby ono u nas szczególniej kwitnąć miało i budziło w nas istotny zapał. Nawet dawniejsze tradycje nasze bynajmniej zamiłowania do tego zawodu w nas nie rozwinęły. Dawny szlachcic polski był wprawdzie właścicielem ziemskim, rolnikiem jednak w większości wypadków nie był. W czasach wojennych — te były częste — zajmował się obroną kraju, w czasie pokoju sejmiki i zjazdy czas jego pochłaniały, rolnictwo zaś było dla niego zajęciem dorywczem, pobocznem, to też troskę o chleb powszedni składał przeważnie na barki żony i swych płatnych zastępców. Uprawą roli zajmował się lud i on też tylko ma głęboko zakorzenione do pracy tej przywiązanie.

Dla większości naszych właścicieli ziemskich wieś jest przedewszystkiem rezydencją, lubimy ją, kochamy, jako siedzibę naszych przodków, świątynię pamiątek rodzinnych, lecz zapominamy zwykle, że ona żywicielką naszą być powinna i że wiejskie wczasy słodkie są tylko temu, który w pocie czoła zagon swój uprawiając, zebrać z niego zdoła i procenta dla towarzystwa kredytowego i chleb powszedni dla żony, dzieci i czeladzi, i wreszcie obfity dla tejże ziemi na rok następny zasiłek.

Ale ten prozaiczny pogląd na ziemię z wielką trudnością przyjmuje się w marzycielskich głowach potomków naszej dawnej szlachty. W błogiem przypuszczeniu, że Bóg da w samą porę deszcz, wiatr i słońce, że, jako dobry gospodarz, poprawi to wszystko, w czem człowiek pobłądził, że wreszcie jakoś się koniec z końcem zwiąże, jak za dawnych polskich czasów, oddaje się cały swej politycznej i narodowej misji póty, póki mu dłoń wierzycieli podstawy operacyjnej z pod nóg nie usunie. Naturalnie obok tego gra się rolę wielkiego pana, zdumiewa się Niemców animuszem i fantazją, praktykuje się gościnność na szeroką skalę, aż do chwili smutnego przebudzenia. Jest to pewnego rodzaju obłęd wielkości, którym wszyscy jesteśmy poniekąd dotknięci.

Dla Niemca przeciwnie. Ziemia to przedewszystkiem warstat, na którym chleba dorobić się można. Osoba jego stoi na ostatnim planie, gospodarstwo na pierwszym. Różnica ta zaznacza się wyraźnie, gdy obserwujemy Polaka i Niemca w roli nabywców ziemi. Polak przedewszystkiem pyta o ogród i dwór mieszkalny, Niemiec o wartość roli i komunikacje. Zdarzają się naturalnie i oszczędni a gospodarni Polacy, zdarzają się Niemcy rozrzutni i hulaki, ale tak jedni, jak i drudzy są w mniejszości.

Nie tylko zresztą dodatnie cechy charakteru pomagają Niemcom dorabiać się majątku, trudno przemilczeć, że ich wyższość na tem polu płynie też nieraz z pewnego rodzaju niższości moralnej, mianowicie z braku skrupułów. Nie chcę ubliżać całemu narodowi niemieckiemu, ci jednakże Niemcy, którzy do nas dla dorabiania się przybywają, mają pod tym względem bardzo złą sławę, a sztuczne bankructwa, w porę przybywające pożary i tym podobne uśmiechy fortuny, zdarzają się u nich perjodycznie. Polak, póki może, płaci procenta, jeśli zbankrutuje, to dowód, że nic nie ma; u Niemców ogłoszenie niewypłacalności jest tylko często zręcznym obrotem finansowym, który zachwianego właściciela na nogi stawia. Wobec braku skrupułów naszych ucywilizowanych sąsiadów, nasza szlachetna łatwowierność, wielkopańska wspaniałomyślność są niekiedy wprost kalectwem, które do zguby prowadzi.

Przytoczę pewien fakt, ilustrujący dobrze owe stosunki. Pewien zamożny Polak, syn obywatelskiej rodziny, pragnął nabyć majątek ziemski; ponieważ jednak, jak wielu zresztą polskich obywateli, sposobiących się do swej politycznej misji, zamiast agronomji prawo studjował, zupełnie nie znał się na ziemi i na swem zdaniu nie polegał. Trafiała mu się właśnie do nabycia wioska, pozostająca w rękach Niemca, kolegi z pułku. Nie chcąc przedłużać targu dla zasięgnięcia rady krewnych, zaufał koledze, żądając od niego oficerskiego słowa honoru, że wioska owa warta jest istotnie sumy żądanej. Słowo to otrzymał, wieś kupił i naturalnie haniebnie oszukany został. Przyznajcie mi, czytelnicy, że tak lekkomyślnego kroku mógł się tylko marzycielski, polski charakter dopuścić.

Jakkolwiek owo wykupywanie ziemi, owa ekonomiczna przeciw żywiołowi polskiemu walka głównie na prywatnej odbywa się drodze, niema wątpliwości, iż rząd widzi ją chętnie i gorąco popiera. Niemcy, nabywający ziemię w t. zw. wschodnich prowincjach otrzymują dwuprocentowy kredyt, od czasu zaś stworzenia komisji kolonizacyjnej rząd podjął w tym kierunku dzia-

łalność na własną rękę, nie zadowalniając się nie dość szybką działalnością osób prywatnych. Znikanie większej własności ziemskiej, więcej zaś ogólne zubożenie Polaków, odbija się bardzo smutnie na naszych politycznych stosunkach. W izbie panów, gdzie głównie większa własność jest reprezentowaną, jest nas już niewielu, w sejmie pruskim ilość naszych posłów stale się zmniejsza, gdyż wybory odbywają się na podstawie stopy podatkowej, tylko w parlamencie trzymamy się nieźle dzięki temu, że nie istnieje tam cenzus wyborczy.

Być może, że z czasem powetujemy nasze ekonomiczne porażki na innem polu, że po upadku większej własności wzrośnie u nas i wzmocni się finansowo własność drobna i żywioł miejski. Można to przypuszczać, gdyż chłopi w poznańskiem przeważnie trzymają się ziemi i gospodarują dobrze, a nawet dorabiają się potrosze gotowego grosza, wstręt zaś do łokcia i miarki poniekąd zanika, a przemysłowcy nasi i rzemieślnicy stanowią szczerze-patrjotyczną klasę, niestety jednak, z przemysłowcami i rzemieślnikami niemieckimi niezawsze szczęśliwie współzawodniczą.

Mylnem zresztą jest przekonanie, że znane polskie wady, jakoto: lekkomyślność, niewytrwałość, łatwowierność i t. d. cechują wyłącznie szlachtę polską. Te rasowe właściwości spotykają się u nas i w innych sferach, choć naturalnie u szlachty spotęgowały je przez cały ciąg wieków wpływy historycznych warunków. Objawy ich widujemy bardzo często wśród naszych rzemieślników, drobnych przedsiębiorców i przemysłowców. Pracowici, energiczni, oszczędni póki bieda ich gniecie — z chwilą pierwszego powodzenia zaczynają chorować na panów, zaniedbują swą pracę, śpiesząc czemprędzej kosztować jej słodkich owoców. I to naturalnie nie jest regułą bez wyjątku, i ta wada może z czasem zniknie pod wpływem twardej szkoły, w której się kształcimy, niemniej jednak dotychczas jest ona może najpowszechniejszem źródłem naszych niepowodzeń.

Przyznać trzeba swoją drogą, że walka o chleb powszedni jest dla nas wiele cięższą, niż dla Niemców, choćby ze względu na samo tylko położenie nasze polityczne. Jesteśmy systematycznie usuwani od wszelkich rządowych posad; to, co dziś dokonywa się w Król. Polskiem, w Ks. Poznańskiem jest już dawno faktem spełnionym. Urzędnik Polak jest tam bardzo rzadkiem, niebywałem prawie zjawiskiem; nie ma dla nas chleba w żadnej gałęzi administracji, sądownictwa, nigdzie, słowem, gdzie rząd jest pracodawcą. W biórach pocztowych, na kolejach, które, jak wiadomo, przeszły na własność państwa, nie spotyka się Polaków na wyższych stanowiskach, niż listonoszów i numerowych do noszenia kuferków. Począwszy od tej skromnej rangi w górę, wszędzie widzimy tylko Niemców. To też przejeżdżając przez Ks. Poznańskie, Polacy zmuszeni są ciągle posługiwać się niemieckim językiem, wynoszą z niego przesadzone nieco pojęcie o postępie germanizacji. Łatwiej było opiekunom naszym nadać krajowi niemiecki pozór, niż zmienić narodowy charakter jego mieszkańców.

C. d. n.

Obrazki warszawskie.

»Servi siam, si, ma servi ognor frementi!«
Alfieri.

Dnia 17. kwietnia.

Nerwowym ruchem naciągał na siebie palto i co chwila spoglądał na zegar. Po bladej twarzy od czasu do czasu przebiegała mu łuna rumieńca.

— Józiu, nie dokończyłeś herbaty? — zwróciła się doń matka.

— Ach, prawda! Zapomniałem — i prędko pochwycił szklankę, ale w połowie zamyślił się, przestał pić. Spojrzał dokoła. Siedziały przy stole matka i ciotka jego. Obydwie stare, siwe, obydwie z wyrazem gołębiej łagodności na twarzy. Podobne były do siebie, tylko w czarnych oczach ciotki płonął dotąd niewygasły ogień jakiś, którego brakło załzawionym źrenicom matki jego. Siedziały milczące, udając, że kończą śniadanie.

— Do widzenia, mateczko! — Nie czekajcie na mnie z obiadem, gdybym nie wrócił na trzecią — chciał już powiedzieć, ale powstrzymał słowa, cisnące mu się na usta — wrócę jak zwykle o trzeciej — dokończył niepewnym głosem. — Do widzenia, ciociu! — Dziwnym półuśmiechem odpowiedział na głębokie spojrzenie staruszki i wyszedł.

Czemu milczały tak uparcie? Czemu nie prosiły go, żeby został, żeby dziś wyjątkowo, przez miłość dla nich pozostał w domu?!

Ciotka... ba! znał on dobrze tę duszę płomienną! Czegóż to ona od najwcześniejszego dzieciństwa nie kładła mu w głowę?! A dziś, to spojrzenie!... Rozumie on je dobrze... to spojrzenie dręczy go, drażni, denerwuje...

O ciotce Emilji, kiedy był jeszcze dzieckiem, snuł sobie długie, tajemnicze, romantyczne historje. Wplatał w nie autentyczne dzieje swojej rodziny, w zasłyszanych tu i ówdzie półsłówkach znajdując potwierdzenie dziecinnych domysłów. W końcu uwierzył sam własnym marzeniom: ciotka kochała się w jego ojcu, a ojciec matkę przełożył nad nią. Przyszły burze powstańcze.. ciotka poświęciła siebie, żeby ukochanego swego ocalić dla żony i spodziewanego dziecięcia. Ale ten ukochany umarł w cytadeli, a ciotka poszła do Tomska piechotą.

Gdzie w tem wszystkiem kończyło się fantazjowanie chłopca, a zaczynała rzeczywistość — Bóg to wie. Że była w Tomsku, to pewna. Po kilku latach powróciła do Warszawy, stara, schorowana, ale z duszą wiecznie młodą, wiosenną, gorącą. Odtąd kościoły krótko widywały ją w swych murach, ale zato znały ją ubogie poddasza, znały izdebki studenckie, znały dzieci biedne, co z najdalszych stron miasta zbiegały się do niej na naukę. A jaka to była nauka?... Ot, rozfantazjowana w 63cim dusza starej panny, fantazjowała w dalszym ciągu. »Siała w dzieci najsroższe trucizny: miłość wolności i miłość ojczyzny«.

Taką ją znał. Jakże miał dziwić się, że dzisiaj milczała?! Ale Matka?! Matka! O nią chodziło mu najbardziej. Jednem słówkiem, jednem skinieniem mogła dzisiaj zatrzymać go przy sobie. Nic. I ona zostawiła mu swobodę wyboru! Iść, albo nie iść?

W starej świątyni, pod sklepieniem łuków gotyckich święci dziś naród wielkiego dnia pamiątkę. W niemocy i pohańbieniu święci dzień zwycięstwa, dzień krwi. Iść albo nie iść?

Przed tym, kto pójdzie, ciemnice więzienne, przed tym, kto pójdzie, sybirskich śniegów kraj, i Bóg wie co jeszcze, Bóg wie...

Dziś, tam na wązkich uliczkach Starego Miasta spełni się nowa ofiara. Dziś kat narodu rękę swą brudną i krwawą położy znowu na garstce wybranych, na garstce najszlachetniejszych, najczystszych...

Młody człowiek od myśli tych wstrząsnął się cały. Zdawało mu się, że na ramieniu swem poczuł już dłoń żandarma. Obejrzał się dokoła, był na Podwalu. Niecierpliwie ruszył ramionami. Po co szedł w tym kierunku? Gdzie zmierza? Tam iść — szaleństwo! Nie pójdzie, nie!

Zimne, wyrachowane zdania ludzi »rozsądnych«, jak rój os wpadły mu pod czaszkę i brzęczą: Dla fantazji młodzieńczej poświęcać dobro najbliższych — egoizm. Czcić pamiątki narodowe — cóż przyjdzie ojczyznie z ich uczczenia? A ofiar tyle, a sił narodowych ubytek! To lekkomyślność dziecinna, ba gorzej, to zdrada!

Stara, pomarszczona twarz ciotki i głębokie spójrzenie czarnych jej oczu ukazały mu się w tej chwili tak wyraźnie, jakby staruszka stanęła przed nim. Ale wnet odegnał widziadło. Inna twarzyczka, wdzięczna, młoda, uśmiechnęła się doń zalotnie. Z głębin pamięci, siłą marzenia, wywołał całą jej postać. Nimfa salonów, strojna, wiotka, gięła się przed nim namiętnym ruchem walca. I tę uroczą, tę najmilszą stracić?! Nigdy! I dla czego? Dla mary! I tych dwóch starych kobiet byt i spokój poświęcić? Na nędzę je skazać? Przenigdy! Przypomniał, jak one ostatni kawałek chleba odejmowały sobie od ust, byle jemu na szkoły, na mundurki, na książki starczyło. Łzy go dusić zaczęły, miał ochotę wybuchnąć łkaniem. I znów spojrzenie ciotki zamajaczyło mu przed oczami i znowu odbiegło gdzieś w dal. Szedł zamyślony, z głową spuszczoną ku ziemi, z postanowieniem, że zaraz zawróci. Wyszedł na plac Zygmunta i przystanął. Dziwy! Stary zamek królów urósł mu w oczach, staroświeckich kamieni rzędy jakiś świąteczny, uroczysty przybrały dzisiaj strój. Woda wiślana szeroką wstęgą połyskuje w słońcu wiosennem, a z za rzeki, het, z dali — całym czarem swoim śmieje się do niego ziemia rodzona..

Płyną od niej zapachy wiosenne, i łagodne pieszczoty wietrzyka i wszystkie tęsknoty ojczyste płyną...

Środkiem Krakowskiego przedmieścia gromadki studentów i kobiet, szczęśliwe, dumne, śpieszą do kościoła św. Jana. Młodzież polska idzie oddać się w szpony żandarmskie.

Spojrzał za rzekę, spojrzał dokoła i serce gwałtownym ruchem uderzyło mu w piersi... Z nimi! Dla ciebie, Matko!

Po chwili zniknął pod gotyckiemi arkadami katedry.

* * *

Dziś, gdzie on? Dziś jęczą nad nim złowrogo jesienne wichry rosyjskich stepów, dziś lży go sołdat pijany i kruk mu czarny urąga. Dziś, on daleko.

O nie żałuj, młoda duszo polska, duszo człowieka wolnego, nie żałuj, żeś raz przecie zerwała pęta hańbiące!

Dziś ty już wolny! W kajdanach, w katordze, pod batem żołdackim ty już wolny i żaden ukaz carski niewolnikiem ciebie napowrót nie zrobi!

Nie żałuj! Z ciasnych uliczek Warszawy duch buntu, jak zaraza, leci po kraju.. Nie żałuj, szczęśliwy! Do ciebie przecież śmiała się ziemia ojczysta i swobody upajał cię wiew...

Wanda.

PORTRET.*)

Pewnego popołudnia pan radca powrócił do domu z wesołą piosenką na ustach i przez kilka komnat przeszedł prędko do ostatniego, dość obszernego pokoju. Zatrzymał się przed kominkiem, na którym między starym, bronzowym zegarem i świecznikami stało kilka, również ze starego bronzu, figurek. Rozwinął czemprędzej paczkę, którą wydobył z bocznej kieszeni surduta,

*) Z cyklu szkiców, obrazków i nowel, które ukażą się wkrótce w obiegu księgarskim pod zbiorowym tytułem »Liście«. (Przyp. Redakcji).

i z uśmiechem zadowolenia postawił na kominku bronzowy posążek Minerwy.

Było to skończone cacko artystyczne wypieszczone ręką włoskiego mistrza z epoki odrodzenia. Z trudem i kosztem wielkim zdobył je pan radca na licytacji po znanym zbieraczu starożytności. Figurki tej brakło mu do kompletu prześlicznych drobiazgów, poustawianych na kominku; cieszył się więc z tego nabytku jak człowiek, w którego życiu pustem i bezcelowem tylko takie drobiazgi mogą przynieść pozornego szczęścia chwilę. Cieszył się dziś tak, jak wówczas, gdy przed laty wielu odczytywał swe wiersze, drukowane w noworocznikach i pismach perjodycznych. Błogo mu było z tą piękną Minerwą, tak jak w owej chwili, gdy z ust ukochanej zwykł był słyszeć pełne pieszczot i słodyczy słowa...

Pan radca bowiem pisywał dawniej wiersze, a nawet zbiorek ich w świat puścił pod przybranem nazwiskiem. Było to wówczas, gdy na świat patrzał przez różowe okulary złudzeń i rozkosznych marzeń, gdy dla ukochanej jedynie istoty grało w jego duszy żywo i gorąco przyśpieszone serca bicie.

Lecz było to dawno, gdyż słuszna jego postać przygarbiła się nieco od tej pory, krucze włosy zbielały na głowie, oko straciło blask ognisty.

Świeżym z doby owych wspomnień pozostał tylko pastelowy portret młodej kobiety, z upiętą w jasnych włosach wiązanką habrów i maków...

Portret ten wisiał wprost kominka, mimowoli więc pan radca rzucił okiem i zatrzymał na nim wzrok przez chwilę. Prędko wszakże, z wyrazem smutku na twarzy, odwrócił głowę, jakby pod nawałem wspomnień przykrych, które dolatywały z tego portretu. Począł nakręcać zegar, okurzac figurki, układać książki i ryciny na stole; lecz wkrótce znów spojrzał na portret... Przypatrywał mu się dłużej i uważniej; pragnąc zaś oderwać się od tego widoku, wyszedł nagle z pokoju, pogwizdując niby wesoło. Zamyślony począł wielkimi krokami mierzyć pokój przyległy, lecz wkrótce znalazł się znów przed pastelowym portretem... Zdawało się, że poraz pierwszy przypatruje się tej głowie, na twarzy bowiem jego malował się pewien namysł i zastanowienie, które niebawem w zachwyt się przemieniło. Oparł się rękami o fotel i długo, długo wpatrywał się w tę twarz powabną.

Zmrok zapadał już na dworze, a on stał ciągle przed portretem, jakby z poza ram złoconych ukazywały się wciąż inne, urocze widziadła.

Była to codzienna, przed tym ołtarzem zanoszona, rzewna acz niema modlitwa.

Znużony, spoczął w fotelu, głowę opuścił na piersi i zamyślił się smętnie... A z poza ram potretu występowały znów coraz to inne, coraz dziwaczniejsze zjawiska.

Widział, jakby na jawie, twarze ludzi obcych, którzy weszli do domu jego śmiało, jak do swego; poczęli oglądać, oceniać, spisywać wszystkie, staraniem życia całego nagromadzone zbiory. Potem drzwi otworzyły się z trzaskiem i do tego cichego zakątka wdarł się z hałasem, jako fala wściekła, tłum ludzi nieznanych a najrozmaitszych. Poczęto wywoływać i sprzedawać więcej dającemu jego cenne zbroje, sztychy i książki, gobeliny i obrazy... Szum, wrzawa i krzyk powstał straszny między tym tłumem przekupniów; wyrywano sobie sprzedawane śliczne zabytki sztuki z rąk do rąk, prześcigano się w ofiarowywaniu najwyższej ceny. Chwila jeszcze, a cały ten zbiór cenny i umiejętny znalazłby się w rękach przekupniów, którzy go mieli rozproszyć po całym świecie... Tylko w ostatnim pokoju pozostał wiszący na ścianie pastelowy portret kobiety... Lecz i tu wdarł się tłum niesforny i portret poszedł na licytację...

Nie było wszakże nabywcy na to dzieło sztuki. Nikogo nie obchodziła twarz obca, choć piękna i pięknie malowana; po bezskutecznych usiłowaniach sprzedaży rzucono go nieoględnie w kąt pokoju.

Na tę chwilę ocknął się z zadumy pan radca. Przetarł prędko oczy i wstrząsnął się cały od zimna, którem go przejęło to przykre widzenie. Z przestrachem pewnym rozejrzał się wokoło. Cisza panowała w tem ustronnem mieszkaniu. Zbroje i obrazy wisiały na dawnem miejscu, książki spoczywały w szafach oszklonych. Na kominku huczał ogień, rozpalony ręką troskliwego sługi, w kącie na małym stoliku lampa rzucała wkoło światło przyćmione, a tuż naprzeciw niego wisiał portret młodej kobiety, z wiązanką habrów i maków w jasnych, jedwabnych splotach

Zerwał się z miejsca i ze złożonemi jak do modlitwy rękami zbliżył się do portretu. Lubował się jego widokiem, cieszył odzyskaną stratą, lecz po chwili zadrżał, zbladł nieco i twarz ukrył w dłonie. Przed oczyma jego musiało się znów przesunąć straszne i męczące widziadło; w tej duszy, która zdobyła się niegdyś na wielkie zaparcie i wielkie zwycięstwo nad samym sobą, musiała zapłonąć iskra wspomnień rozpacznych. Zaniepokojony, wzburzony, z okiem pałającem chodził z kąta w kąt pokoju, i nareszcie, uspokoiwszy się nieco, stanął przed portretem.

— Prawda — wyszeptał do siebie po niejakim czasie — nigdy nie pomyślałem o tem, jaki los cię spotka, gdy tam... znów... rozłączą nas na wieki!...

To rzekłszy, zdjął portret ze ściany i wyjął go z ram ostrożnie. Zbliżył się do kominka, a po chwili syczące ognia języki pochłonęły bezpowrotnie to, co ten człowiek samotny najdroższego na ziemi posiadał.

Leopold Meyet.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.